

Koncerty, reaktywacja

To, że wszystko nam się może zdarzyć niezależnie od wieku, kondycji zdrowotnej i sytuacji, w jakiej się znajdujemy, pokazały ostatnie miesiące mijającego roku. Po pierwsze, powrót moich listów na łamy pisma, którego to my, seniorzy jesteśmy najwierniejszymi czytelnikami. Ja nie piszę tych listów przecież tak sobie ani dla koła młodych lekarzy, czy lekarek wychowujących dzieci, nie piszę ich także dla siebie, tylko dla moich rówieśników, z którymi utrzymuję ścisły kontakt. [...] Młodzi uważają, że świat należy przede wszystkim do nich i nie widzą, a raczej nie chcą widzieć innych obok. A jak się przeliczą, to depresja albo wypalenie zawodowe (jeżeli pracują). W zasadzie niewiele nam dają, mamy swoje wypracowane apanaże. Niewiele dla nas robią, głównie obiecują jakieś programy, warsztaty, pomoc psychologiczną itp., a kończy się na niczym. Dziennikarze bez doświadczenia medycznego piszą opasłe artykuły o tym, „czy starość musi boleć” i tyle. [...]

W ciągu całego dawnego życia, mimo zapracowania miałem bardzo częsty, czasem kilka razy w tygodniu, kontakt z „wytworami” kultury, niezależnie, gdzie byłem i jakie trudności musiałem pokonać, żeby do nich dotrzeć. Była to głównie muzyka i to ta z wyższej półki. Potem opera i teatr. Najpierw w Łodzi, potem była Warszawa, Gdańsk, Poznań, Kraków, a nawet Moskwa, Ryga, Petersburg, Wilno, Budapeszt, Sofia, Warna itp. Trwało to wiele lat. Widziałem to, czego teraz się nie zobaczy, w wykonaniu którego też już się nie usłyszy. Mam to na szczęście w pamięci i nikt mi tego nie zabierze. Nawet czas, kiedy mnie wzięto w „kamasze” (takiego języka użył później jeden z ministrów solidarnościowych w stosunku do lekarzy, pięknie, prawda!!!).

Mnie wzięto do wojska zaraz po studiach w latach 1963–1965 ub. wieku, dano normalne obuwie i traktowano po ludzku z należną atencją, chociaż miałem dopiero dwadzieścia pięć lat. Wtedy poznałem, co najlepsze w kulturze na Wybrzeżu. Przedstawienia w Operze Leśnej, kiedy ta była jeszcze taka, jak być powinna, bez zadaszenia ograniczającego piękny widok na okalające ją wzgórza, kolorowych migających świateł oślepiających widzów i innych niepotrzebnych sztuczności. Opery „Halka” czy „Carmen” w tej scenerii to były dopiero „bomby”.

I tak latami widziałem co najlepsze, gdzie się dało. Potem przyszedł czas emerytury i zafrapowała mnie uprawa roślin na działce. Jedynym kontaktem z muzyką (ale jaką doskonałą) było uczestnictwo w transmisjach operowych z Metropolitan w naszej filharmonii. W miarę upływu lat wydolność fizyczna malała i to też się skończyło. Kontakt z muzyką pozostał głównie przez Internet i płyty CD lub winylowe, których posiadam mnóstwo z dawnych lat. W Internecie można wszystko znaleźć, co się lubi i chce oglądać.

Aż tu nagle trafiłem na zachętę uczestnictwa w koncercie Łódzkiej Akademii Muzycznej ku czci wieloletniego dyrygenta i nauczyciela w tejże akademii, Zdzisława Szostaka. Postanowiłem się wybrać, żeby przypomnieć sobie słuchanie muzyki na żywo, tym bardziej że sala koncertowa na Żubardzkiej blisko, dojazd dobry. Dałem znać znajomej osobie o tym wydarzeniu, a nuż przyjdzie i będzie rażniej. Tak też się stało. Kontakt z muzyką na żywo rozbudził moje chęci do kontynuowania tego. W dodatku zupełnie niespodziewanie wygrałem w audycji Radia Łódź zaproszenia na bardzo ekskluzywny koncert pianisty jazzowego Leszka Możdżera z orkiestrą Warszawskiej Opery Kameralnej. Znajomy, któremu oferowałem zaproszenie, przyjechał po mnie i po koncercie odwiózł do domu. Poczułem się jak „mafioso” z własnym kierowcą. No a koncert to majstersztyk wykonania, i solista, i orkiestra, a jeszcze osoba wprowadzająca, sama pani Alicja Węgorzewska aktualnie dyktująca Operze Kameralnej. [...]

Nie upłynął tydzień po tym koncercie, a tu pojawiła się kolejna propozycja, tym razem od osoby wdzięcznej za udział w koncercie Możdżera. Koncert w tym samym miejscu, ale inna muzyka: rock symfonicznie. Nigdy na żywo czegoś takiego nie słyszałem, ale lepiej późno niż wcale. Byłem, wytrzymałem i mimo że prawie ogłuchłem (niestety, tę muzykę bardzo głośno grają), ale oniemiałem. Utwory rockowe z lat sześćdziesiątych–dziewięćdziesiątych ub.w. z orkiestrą symfoniczną, czworo solistów z Ukrainy (2k+2m) i znowu bomba. Jeszcze większy szok, ale w pozytywnym znaczeniu. Na widowni było sporo ludzi powyżej siedemdziesiątki, nie tylko ja jeden. A więc można i mogę potwierdzić, co przeżywamy na żywo, to na żywo, korzystajmy kiedy i ile się da. Takie imprezy są wprawdzie dość kosztowne, ale dla utrzymania zdrowej psychiki nie ma ceny. A żeby zamknąć temat, chcę poinformować, że po przeczytaniu informacji pana Olafa Jackowskiego w artykule pt. „Jesienno-zimowe plany Filharmonii”, już mam bilet na koncert z II symfonią Mendelsoina, z którą zapoznałem się w Internecie i warto iść, aby posłuchać na żywo. Wprawdzie młodzi pracujący (często do 18-tej) chyba nie znajdą czasu, żeby przyjść na koncert o 19.30, kiedyś były powtórki w soboty o 17-tej, więc była alternatywa. Kto ma chęć i siłę, żeby po intensywnej pracy pójść na koncert, ale my emeryci możemy i ja znowu postaram się słuchać muzyki na żywo, gdy tylko będzie coś interesującego, a przed wszystkim coś, czego nie znam i zachęcam do tego wszystkich, którzy zbyt wcześnie spasowali.

Krzysztof Papuziński, senior optymista

Panaceum 12/2023